

**JACEK
OSTROWSKI**

ŚWIRUS

**JACEK
OSTROWSKI**

ŚWIRUS

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

O nic nie błagaj, bo próżne marzenia,
by człowiek uszedł swego przeznaczenia.

SOFOKLES, *Antygona*

Płock to jedno z najstarszych polskich miast, w przeszłości stolica kraju, siedziba Piastów mazowieckich, w tym trzech władców. Położony jest na wysokim urwisku kilkadziesiąt metrów nad brzegiem Wisły, do której prowadzi kilka stromych zejść zakończonych szerokimi plażami. Pełne uroku stare miasto, przesiąknięte niczym gąbka klimatem średniowiecza i po trochu pogańskich bóstw, od lat przyciąga turystów z całej Polski.

Przy ulicy Zduńskiej stał sznur zaparkowanych aut, tylko jedno miejsce było wolne i w tę lukę przymierzal się fiat 131 mirafiori. Najpierw próbował wjechać przodem, ale bez efektu, zderzakiem uderzył w wysoki krawężnik, zgrzytnęła gnieciona blacha. Druga próba została podjęta tyłem, ta była skuteczna. Osoba kierująca z trudem opuściła samochód; w jednej ręce trzymała dwie siatki z zakupami, w drugiej torebkę.

– Dzień dobry, pani mecenas.

To żul stojący u wejścia do kamienicy. Opierał się o ścianę i sączył browar prosto z butelki.

– Jaki tam dobry? Cholera, chyba wgniotłam zderzak.

Zuza podeszła do błotnika i schyliła się, żeby spojrzeć na uszkodzenie.

– Cholera jasna. Znów dam zarobić blacharzowi. Stasiak, a co ty tu w ogóle robisz? Już wyszedłeś? Dali ci warunek? A może nawiałeś? Jeśli to drugie, toś pacan, bo ci jeszcze dołożą.

– Byłem grzeczny jak baranek, pani mecenas. W niczym nie podpadłem klawiszom. Jadłem im z ręki.

– Akurat! – Zaśmiała się sarkastycznie.

– Jak matkę kocham.

– I tak trzymaj!

Poklepała go po ramieniu i weszła do kamienicy. Z trudem wspinała się po schodach na drugie piętro. To przez nogę, odnowiła jej się kontuzja sprzed lat, z czasów liceum. Razem z kolegami kradli jabłka z sadu. Pies ogrodnika

ich pogonił. Tamci uciekli, ona została, bo coś gruchnęło jej w kolanie. A co później się działo? Tego lepiej nie wspominać.

W mieszkaniu zastała okropny rozgardiasz. Borys ściągnął narzutę z kanapy, przewrócił krzesło, a co najgorsze – poszarpał jej ulubione kapcie. Właściwie je zjadł. Zostały jedynie pompony, całe mokre od śliny.

Zaniosła zakupy do kuchni, po drodze oganiając się od psa usiłującego dać jej buzi. Ale mu się na serdeczności zebrało!

Z drugiego pokoju dochodził przeraźliwy skrzek.

– Kuuurrrwa maaać Zuuuza! Kuuurrrwa maaać Zuuuza!

Czy ta Zgaga musi wiecznie bluzgać? Wystarczy, że ja to czynię. Psa zamknęła w kuchni, klatkę z papugą przykryła kocem. Wreszcie będzie upragniona chwila spokoju. Rzuciła się na kanapę, aż zajęczały ciężko sprężyny. Zapaliła cygaro, prawdziwe kubańskie, sprezentowane jej przez pana Zdzisia, kolegę od wędkowania. Tydzień temu dostał paczkę z zagranicy, z Francji, ma tam kuzyna. Sam nie pali, więc ją nimi obdarował, porządny z niego gość.

Dziś ma jeszcze dwie sprawy w sądzie, 148 § 1 i 136 § 2, a po nich dyżur w kancelarii. Może też zajrzy nad Wisłę, wędkci zawsze czekają w bagażniku. Kto wie, co dzień jej przyniesie?

Z zasady nie lubiła nic planować, bo wtedy wszystko się waliło, i to na łeb.

Kukułka zarzęziła dziewięć razy, jeszcze kwadrans na odpoczynek. Zamknęła oczy i wtedy poczuła coś na nosie. Znów coś poczuła. Tak jakby coś na nią kapało.

Poderwała się na nogi. Na suficie wielka ciemna plama. Psiakrew! Sąsiad ją zalewa! Na bosaka pobiegła na górę. Dobijała się dłuższą chwilę, nim w szczelinie uchylonych drzwi zobaczyła zasnąłą twarz żony pana Tadzia.

- Woda się leje! Zalewa mi pani mieszkanie!
- O Boże! – krzyknęła sąsiadka.
- Tu żaden bóg nie pomoże! Zakręć kran, kobieto!

Punkt trzynasta Zuza opuściła budynek sądu, wsiadła w samochód i po kocich łbach ulicą Rybaki zjechała nad Wisłę. Przy basenie „Budowlanych” natknęła się na Janka Paprockiego.

Wracał z ryb. Zajrzała mu do torby, a tam tylko dwie nieduże płotki.

– Kiepsko, chłopcze, chyba się nimi nie najesz. – Zaśmiała się.

– Dziś nie biorą – oznajmił jej zrezygnowanym głosem.

– Bo na mnie czekają.

I poszła dalej.

Pan Zdzisio jak zwykle był na posterunku. Dwie wędki zamoczone w Wiśle, w wiadrze jedynie woda, w oczach smutek, na twarzy posępna mina. Widząc Zuzę, ciut się rozpozgodził.

– Liczę na to, że pani przyniesie mi szczęście, bo jak na razie, jak powiadają, bryndza – stwierdził markotnie, spoglądając na wiadro.

– Radzę na to nie liczyć, ja z reguły przynoszę kłopoty. Po drodze spotkałam Janka Paprockiego, kiedy ślub?

– Niebawem. To mądry chłopak, z wyróżnieniem skończył politechnikę, a od kilku dni pracuje w Mostotalu.

– No to świetnie, ale ryba panu bierze. – Zuza wskazała palcem spławik znikający w wiślanej toni.

Mężczyzna przywarł do wędki. To było coś dużego, szykowała się długa walka. Nie mylił się, na brzeg wyciągnął sporego sandacza. Żona się ucieszy, tym razem wróci do domu z tarczą.

- Gratuluję! – Zuza nie kryła podziwu. – Piękna sztuka!
- I pani się trafi, to tylko kwestia czasu.
- Mnie przy moim szczęściu to najwyżej ruski sputnik spadnie na głowę. – Roześmiała się.

Zuza prosto znad Wisły pojechała do doktora Kalickiego. Mieszkał w domu przy ulicy Słonecznej, po wojnie przechrzczonej przez komunistów na Generała Świerczewskiego. Na nic to się im zdało, mieszkańcy Płocka wciąż używali starej nazwy.

W poczekalni było aż czarno od pacjentów, trudno się dziwić, to chyba jedyny lekarz leczący półdarmo. Inni niczym wampiry pijące krew drenowali płocczanom kieszenie.

Przecisnęła się przez tłum prosto do drzwi gabinetu. Słyszała głuchy pomruk oczekujących, ale wcale się tym nie przejęła. Była umówiona na konkretną godzinę, więc pewnym krokiem wkroczyła do środka.

Lekarz już na nią czekał. Usiadła po drugiej stronie biurka i podała mu kartkę złożoną na pół.

Medyk założył okulary na nos i zagłębił się w lekturze wyników badań. Zuza w tym czasie siedziała jak na rozgrzanych węglach, czuła, że rumieniec oblewa jej twarz.

– Liczę na pełną dyskrecję – powiedziała w pewnym momencie, cała w pąsach.

Widziała, jak lewa brew znacząco podjeżdża mu do góry, ale nic nie rzekł. Zza szkielec okularów rzucił jej jedynie przeciągłe spojrzenie.

Ciężko podniósł się z fotela i podszedł do szklanej szafki. Chwilę czegoś w niej szukał. Wrócił z dwiema małymi buteleczkami i strzykawką.

– Proszę obnażyć pośladek – rozkazał.

Posłusznie wykonała polecenie. Czuła, że wbił jej igłę. Następnie potarł miejsce wkłucia kawałkiem waty.

– I po wszystkim. Zapraszam jutro o tej samej porze.

– Panie doktorze, jeszcze raz błagam o dyskrecję.

Spojrzał na nią, udając zdziwienie.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi, pani mecenas. Przecież zapalenie stawów to nic wstydliwego – oznajmił, puszczając do niej oko.

– Dziękuję.

Ulżyło jej, zdobyła się nawet na lekki uśmiech.

– Niech tylko pani powiadomi głównego winowajcę, bo może nieświadomie obdarować tym... zapaleniem stawów kogoś innego, a i sam powinien podjąć leczenie.

– Nie omieszkam, tego proszę być pewnym. Nie daruję sukinsynowi.

* * *

Był wczesny wieczór. Janek Paprocki wyszedł na balkon i oparł się o barierkę. Stąd miał dobry widok na ulicę Bielską. Zaraz powinna przyjść Weronika, jego dziewczyna, tęsknie jej wyczekiwał. Zerkał co chwila na zegarek, jeszcze wcześniej.

Nagle ktoś przeraźliwie krzyknął. Sąsiadka z mieszkania obok, bardzo sympatyczna starsza kobieta. Zobaczył ją na ulicy, stała na środku chodnika i wpatrywała się w niebo. U jej stóp leżały dwie siatki, z których wysypały się zakupy. Jego spojrzenie bezwiednie podążyło za jej wzrokiem.

Po niebie z zawrotną szybkością mknął dziwny obiekt, ciągnąc za sobą długi warkocz czarnego dymu. Nieuchronnie zmierzał w kierunku ziemi. To nie był samolot ani meteoryt, a tym bardziej UFO. To coś wyglądało jak jakiś stary autobus wyrwany na szybko ze złomowiska, podniesiony